

33
Fr. GIEDROYĆ

WARUNKI HYGIENICZNE
WARSZAWY

W WIEKU XVIII.

ULICE i DOMY.

WARSZAWA
NAKŁADEM TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW HISTORII.
1912.

614.78:6286:99(38)WARSZAWA

W. GIBRZYŃ



nr. 4846



II. 12/65
"V"

TŁOZCZARNIA WŁ. LAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114.

K. 164/H6.

BZ12PK/008-59



FRANCISZEK BIELIŃSKI. MARSZAŁEK W. K.
według portretu w Ratuszu Warszawskim.



nr. 4846

WARSZAWA, POLSKA

1946

TREŚĆ: Wstęp. — Liczba ludności i domów. — Bruki. Wyrzeka-
nia na zły stan bruków i zanieczyszczenie ulic. Początki
Komisji Brukowej. Czynności Komisji pod przewodnictwem
marszałka Fr. Bielińskiego. — Deputacja Brukowa. Środki
materiałne Komisji i Deputacyi: podatek „łokciowego“; za-
silek ze skarbu koronnego; ofiary prywatne; dochód z lote-
ryi; materiały w naturze. Konserwacja bruku. — Chodniki.
Kanały. — Czystość ulic. Kto był obowiązany uprzątać ulice.
Jak często ulice uprzątano. Magazyn karowy. Obowiązek
wywożenia błota przez woźniców zawodowych. Wywo-
żenie padliny. Góra Gnojowa. — Polewanie ulic. — Oświe-
tlenie ulic. — Domy. Polityca budowlana. Domy drewniane.
Kloaki. Ich oczyszczanie. Podwórza domów.

ŹRÓDŁA: Uchwały magistratu. Dyspozycje urzędu marszał-
kowskiego. Księgi Komisji Brukowej. Księgi Komisji Do-
brego Porządku.

Troska o zapewnienie mieszkańcom, a zwłasz-
cza większym ich zbiorowiskom możliwie najzdrow-
szych warunków życia, stanowi jedno z zadań po-
licyi lekarskiej. Troska o to w miastach dawnej
Polski spoczywała do końca XVIII w. na władzach
administracyjnych miejskich, które też wydawały
odpowiednie zarządzenia, nie tworzące zresztą od-
dzielnej kategoryi i wogóle nieliczne. Niepodobna
się temu dziwić, ponieważ zasady polityki sanitarnej,

jako odrębnej gałęzi nauk lekarskich, rozwinęły się znacznie później. Jakoż nawet te rozporządzenia, które zmierzały do uzdrowotnienia miast—zwłaszcza co do ochędóstwa ulic i domów—miały na widoku zgoła inne cele, nie zaś polepszenie warunków sanitarnych. W takich rozporządzeniach zazwyczaj nie wspomniano wcale o zdrowiu mieszkańców, ale stan sanitarny zyskiwał na nich, mimo zamierzeń prawodawców.

Sprawy tedy sanitarne miast polskich spoczywały w rękach władz miejskich. Inaczej jednak działało się w Warszawie. Przywilej lokacyjny z r. 1413 obdarzył miasto samorządem z obieralnymi rajcami, burmistrzem i dodanymi później (za Zygmunta Augusta) 20 gminnymi. Z chwilą jednak, kiedy Warszawa stała się miejscem pobytu królów i obrad sejmowych, samorząd stracił dużo na znaczeniu, zanikał. W obecności króla bowiem władzę policyjną, sądową, a poczęści nawet administracyjną sprawowali marszałkowie koronni i nadworni. Oni też wydawali swoje „artykuły“ i „dyspozycye“, uwzględniające, obok innych, również potrzeby higieniczne miasta. Nadto były tworzone po temu oddzielne komisye (brukowa), a nawet najwyższa władza prawodawcza, sejm, poświęcał niekiedy uwagę potrzebom sanitarnym stolicy, uchwalając konstytucyje o naprawie kanałów, urządzeniu rynsztoków, wywózce śmieci i błota.

Samorząd m. Warszawy był przytem skrępowany przez samowolę możnych panów, którzy sadowiąc się na gruntach miejskich, nie uznawali władzy miejskiej, a nawet zakładali pod bokiem War-

szawy oddzielne miasteczka (jurydyki) i ustanawiali w nich własnych burmistrzów i wójtów.

Obok jurydyk, których liczba pod koniec XVIII wieku sięgała 15, istniało osobne miasto — *Nowa Warszawa*, pod względem administracyjnym i sądowym niezależne od właściwej, t. zw. *Starej Warszawy*. Połączenie obu miast nastąpiło dopiero w r. 1788, wszystkie zaś jurydyki złąły się w jedno z mocierzą na mocy ustawy z dn. 18 kwietnia 1791 r. Podzielono wtedy całe miasto na cyrkuły i ustanowiono komisarzy policyjnych, powierzając im czuwanie nad porządkiem w dzielnicach.

O rozwoju Warszawy w ciągu wieku XVIII daje pojęcie wzrost jej ludności i liczby domów. W połowie XVI stulecia Warszawa (Stara i Nowa) liczyła niespełna 13,000 mieszkańców, i jeszcze w połowie XVIII wieku nie wiele tę liczbę przekraczała. Nagle w 1770 r. liczba mieszkańców jej wzrasta do 40,000, w 10 lat później do 48,000, w roku 1795 do 66,572 (z Pragą). W r. 1800 ma 74,590 mieszkańców*).

Przyrost ludności podlegał nieraz znacznym wahaniom; zwłaszcza rażące były spadki, wywołane przez klęski, spadające różnemi czasy na stolicę; ludność natomiast wzrastała niezwykle w razie napływu przyjezdnych: w roku np. 1659 liczy Warszawa zaledwie 5,130 mieszkańców, w dobie zaś sejmu wielkiego—około 120.000.

*) Podług obliczeń Władysława Korotyńskiego (*Kuryer Warszawski* z 1897 r. № 80).

Podług spisu Jerzego Dawidsona, gminnego miasta, Warszawa w r. 1750, w murach i za murami, posiadała 27 ulic, zawierających ogółem 486 posesyi, między któremi było kamienic 293, pałaców 28, domów drewnianych i dworków 150. W r. 1779 liczyła Warszawa 2663 nieruchomości. Podług wykazu, ułożonego w r. 1784 przez Komisję Brukową, miało miasto 197 ulic (łącznie z juredykami, oprócz Pragi), posesyi 3140, w tej liczbie domów murowanych 980, drewnianych 2160.

Erndtel obliczył (1730 r.), że Stara Warszawa z Nowem Miastem, Krakowskiem Przedmieściem, Nalewkami, Lesznem, Grzybowem, Wielopolem, Aleksandryą i Nowym Światem miała 11,300 kroków obwodu, samo zaś Stare Miasto, otoczone murami i podwalem—1540 kroków.

Bruki i ochędóstwo ulic -- to stała bolączka Warszawy od czasów najdawniejszych aż podziśdzień. Przez wieki całe wije się, rzadko przerywana, nie utyskiwań i dążeń ku naprawie; ciągle widzimy zabiegi o wybór najstosowniejszego sposobu brukowania, i co wiosna oglądamy jeszcze sterty śniegu i błota, układane dytychczas po zboczach ulic według przepisu marszałka Mniszcha z r. 1784: „Na ulicach szerokich w kupy okrągłe, zaś na ulicach wązkich, ułatwiają i zostawując wygodny przejazd— w kupy podługowate“.

Na zły stan bruków i zanieczyszczenie ulic w Warszawie wyrzekają zgodnie cudzoziemcy i sami mieszkańcy stolicy.

Paweł Mucante, sekretarz kardynała Gaetaniego, w opisie podróży do Polski w r. 1596, powiada, że obszerne przedmieścia, okalające Starą Warszawę, są „dość piękne, ale niezmiernie błotniste“, w rynku miasta domy „piękne, wszystkie z cegły; ulice brukowane są temiż cęgłami razem z kamieniami czerwonego granitu, ale tak to wszystko źle z sobą spojone, że chodzić i jeździć niegodziwie; błoto zaś większe niż w Krakowie“.

Takiż stan rzeczy widzimy na początku XVIII stulecia. Dr. Erndtel (1730 r.) uważa powietrze warszawskie za bardzo zdrowe w istocie swojej, jako odświeżane przez wiatry wschodnie i zachodnie, a przez parowanie Wisły w dostatecznej mierze wilgocią nasycone. Ale zanieczyszczają je srodze wyziewy z licznych kup gnoju, leżących wzdłuż ulic, zwłaszcza przed pałacami magnatów, którzy nie podlegają władzy miejskiej i nie spełniają jej przepisów o uprzątnięciu ulic. W słotne pory roku kupy owe gniją i zatruwają powietrze „ciężkim fetorem“, a dopiero gdy wyschną — bywają palone. Erndtel drwiąco odzywa się o istniejącym, zwłaszcza wśród popółstwa, przesądzie, jakoby palenie gnojów znakomicie oczyszczało powietrze. Zapomniał, że przesądowi temu hołdowała jeszcze za jego czasów medycyna i że od niej to właśnie ów przesąd mógł przedostać się do ogółu.

Jan Bernoulli (1778 r.) pisze o Warszawie: „ulice, nie wszystkie jeszcze brukowane, mają zimą być niesłychanie błotniste, i przyznać muszę, że już w październiku widziałem okropny tego dowód“. Również Wiliam Coxe (1783 r.) niemile był ude-

rzony spostrzeżeniem, że ulice, lubo dość szerokie, są „niegodziwie brukowane i błotniste co niemiara“.

Nie lepszy stan znalazł Fryderyk Szulz w r. 1792—3. Część ulic Warszawy jest wprawdzie już zabrukowana, ale bruk utrzymywany jaknajgorzej, niebrukowane zaś ulice tworzą w słotę jedno zwierciadło błota, które można przebrnąć tylko boso lub na wysokich wozach; „w gorąca i dni słoneczne — pisze — to błoto zamienia się w pył, którego żadne oczy, gdy wiatr nim powionie, znieść nie potrafią“. Plac Saski, przeznaczony na targowisko, „obrzydliwie jest brudny i nędznie wygląda,... jeżeli kilka godzin deszcz padał, na placu z powozem i końmi się grzęźnie“. „U stóp Zamku, ku Wiśle stoją w większej części nędzne drewniane chaty, otoczone ogromnemi, wysokimi kupy śmiecia, które się tu ściąga z miasta, słomy, gnojów, zrzynek i gałganów, aż pod mury zamkowe się wznoszące. Kupy te wyrosłyby jeszcze wyżej, gdyby pewne stworzenia nieczyste nie udeptywały ich i nie rozrywały“.

Obywatele warszawscy wyrzekali nie mniej od cudzoziemców. Oto jeden z nich, wyjrzawszy przez okno („Myśli patrzącego przez okno na ulicę“, w Warszawie, 1791 r.), trzy rzeczy dostrzegł: „Babę siedzącą w błocie z mąką i kartoflami, dziada w rynsztoku śpiewającego i spódniczkę grodeturową panny Marcyanny, dziegciem usmarowaną“. Panna Marcyanna, służąca, za 5 lat służby pracowitej otrzymała spódniczkę, ale nie mogła jej nie zniszczyć, przeciskając się pomiędzy wozami włościańskimi, które zacieśniają ulice i tamują przejście.

Delegowani od miast królewskich Korony i Litwy, którzy zebrali się w Warszawie w drugiej połowie listopada 1789 r., już w końcu roku rozjechali się „tak dla wyekspensowania się, jak i słabości z smrodliwej aury“ w stolicy.

Również deputowani miejscy na „zgromadzeniach miejscowem miasta Warszawy i wydziałowem miast Rzeczypospolitej wolnych Księstwa Mazowieckiego i województwa Rawskiego“ w dniach 1 i 10 sierpnia 1791 r. uchwalili żądać, „aby, ile możności, po wszystkich miastach, a szczególnie w Warszawie w ulicach nadwiślanych i złych, błotnistych bruki i mosty, reparatione onych i ochędóstwo jak najprędzej i najoszczędniej urządzone zostały“.

Za czasów pruskich stosunki pod tym względem zgoła się nie poprawiły.

Położenie Warszawy wśród mokradeł i bagnisk, obfitość wód zaskórnych, klimat przeważnie wilgotny, bogaty w opady, wadliwy bruk lub brak jego na wielu ulicach, przy niedostatecznej dbałości o utrzymanie ochędóstwa w mieście — oto szereg przyczyn, które sprzyjały gromadzeniu się błota — drugiej bolączki ulic warszawskich. Magier zapewnia, że ulice byłyby o wiele czystsze, gdyby, na wzór Wiednia, zbierano błoto wtedy, kiedy „go niema“ jeszcze, t. j. gdyby wywożono doszczętnie suche śmiecie; wtedy woda deszczowa zmywałaby bruk, zamiast tworzyć błoto.

A do jakiego stopnia błoto się gromadziło, daje pojęcie fakt, że na niektórych ulicach znajdowano po dwie lub trzy warstwy bruku, zagrzeźłego w takiej głębi, że marszałek Fr. Bieliński uznał za

rzecz mniej kosztowną zabrukować nanowo te ulice, aniżeli odkopywać bruk dawny.

Nie można powiedzieć, aby władze właściwe nie dostrzegały zła i nie dążyły do jego usunięcia. Przeciwnie. Zabiegi w tym kierunku były nawet dość liczne, brakło im tylko należytego wykonania, a głównie ciągłości. Przedsiębrane co czas jakiś zarządzenia działy, być może, nie jedno dobre, ale nie podtrzymywane, nie przestrzegane, popadały w zapomnienie, i dobre zapoczątkowania szły na marne.

Podczas bezkrólewia po śmierci Władysława IV, w r. 1648, Konfederacya Generalna Warszawska uwolniła Starą i Nową Warszawę od stacyi żołnierskich z tym atoli „dokładem“, aby mieszczenie własnym kosztem nanowo wybrukowali ulice, zwłaszcza te, które prowadziły do wsi Wielkiej Woli, na pole elekcyjne. Warto nadmienić, że „dwory szlacheckie“ od ciężaru tego były przez Konfederacyę uwolnione. Konfederacye z r. 1668, po abdykacyi Jana Kazimierza, jako też z r. 1674, wydały takie same uchwały.

Konstytucya sejmu warszawskiego z r. 1685 powołała oddzielną *komisyę*, złożoną z marszałków obojga narodów, biskupa poznańskiego i starosty warszawskiego, i poleciła jej, aby, wezwawszy do pomocy biegłych, ułożyła i w czyn wprowadziła „ordynacyą, jakoby te drogi publiczne (t. j. ulice) naprawione, kanały i rynsztoki wychędożone, restaurowane, błota, gnoje wywożone, i na potym aby na publiczne drogi żadne śmiecie i gnoje z domów i ogrodów nie wyrzucane być mogły“. Postanowie-

nia komisji miały obowiązywać wszystkich obywateli miasta, nie wyłączając senatorów, urzędników, ani duchownych.

Na razie komisja niczego nie zdziałała i dopiero w r. 1693 poleciła inżynierowi Tylmannowi pomierzyć ulice dla określenia kosztu ich wybrukowania, dekret zaś sądów asesorskich koronnych, zapadły między magistratem warszawskim a pospółstwem w r. 1688, nakazał na podstawie „dawnych praw“ uiszczać opłatę na utrzymanie porządków miejskich.

Zabrała się raz jeszcze komisja do pracy w r. 1710, za reskryptem Augusta II, ale i wtedy wypadki krajowe przerwały jej czynności w zarodku.

Nowa *Komisja Brukowa*, powołana w r. 1740 przez Augusta III do „egzekucji konstytucji roku 1685“, pod względem porządku zewnętrznego znalazła Warszawę w stanie opłakanym: kanały bądź zrujnowane, bądź zatkane, bruki na wielu, pierwszorzędnym nawet, ulicach wcale nie istnieją, na innych—popsute, gnojów i błota wszędzie pełno, kupy jego tamują przejazd lub wprost nie dają przystępu, jak np. na Krakowskie Przedmieście.

Komisja rozpoczęła czynności dopiero w r. 1742, ale już w roku następnym mogła poszczycić się poważnymi wynikami. Ten pośpiech i owocność pracy nowej komisji, uderzający w porównaniu z opieszałością komisji poprzedniej, nie zawsze dającą się wytłumaczyć niepomysłnymi warunkami—należy przypisać głównie zasłudze marszałka Franciszka Bielińskiego, który stanął na czele komisji.

Dzięki swojej energii, wytrwałości i bezwzględności, a wreszcie ofiarności z własnej szkatuły, zdołał doprowadzić do skutku rzecz, przed pół wiekiem z górą wszczętą i wciąż odwlekaną, i nie dziw, że po dokonaniu tego dzieła, na pamiątkę pokonanych trudności, wznosił przy końcu Nowego Świata (dziś plac Trzech Krzyży) posąg św. Jana Nepomucena.

Brak funduszków stanowił główną przeszkodę dla poprzedników Bielińskiego. Nowa tedy komisya zajęła się przedewszystkiem zapewnieniem sobie środków. Oceniała więc najpierw siłę płatniczą obywateli przez sprawdzenie dochodów i wydatków cechów rzemieślniczych i zgromadzenia kupieckiego, tudzież wykazów, przedstawionych przez egzaktorów podatków.

Na tej podstawie przysła do przeświadczenia, że „najrzetelniejszą, najpewniejszą i najsprawiedliwszą“ będzie opłata od łokcia frontu każdej posiadłości w mieście i na przedmieściach z uwzględnieniem rodzaju ulic, wysokości domów, liczby sklepów i wogóle warunków, powiększających lub zmniejszających dochód z posesyi. Osobno jeszcze miały płacić cechy i zgromadzenie kupieckie. Do opłaty mieli być pociągnięci wszyscy posiadacze domów, pałaców, dworów, wyjąwszy pałac królewski, „który subest taksie samego Pana“, oraz zakony jałmużnicze, które prócz kościoła i placu z klasztorem niczego więcej nie posiadają.

Pomiar ulic, dokonany przez „architektów“ w r. 1743 był już gotów i pod przysięgą „super realitatem“ komisji przedstawiony. Obliczyła zatem komisya w przybliżeniu dochód z opłaty „łokciowe-



POMNIK Ś-TEGO JANA NEPOMUCYNA
na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

go“ i przysłała do wniosku, że da się osiągnąć nieco więcej nad 20,000 złotych z domów oraz przeszło 8,000 z pałaców senatorskich i dworów szlacheckich.

Opłata wynosiła tynfa od łokcia frontu (w rynku Starego Miasta i na dwu „pryncypalniejszych“ ulicach), następnie 1 złoty, groszy 20, 15, 10, najmniej 3 grosze, przyczem domy o kilku sklepach lub piętach miały dopłacać odpowiednią nadwyżkę.

Cały dochód z tego źródła miał być obrócony przedewszystkiem na sporządzenie wozów (kar) i innych niezbędnych narzędzi i materyałów, a następnie „na utrzymanie ochędostwa i konserwacyę bruków i kanałów“.

Obliczenia wykazały, że fundusze takie nie wystarczą bodaj na najpilniejsze roboty, jak wybrukowanie niektórych ruchliwszych ulic, a przedewszystkiem na otwarcie dojazdu do Wisły. Obecnie — powiada komisya — ulice są albo całkiem gnojami zawalone, albo tak zepsute i niemal od stu lat pozostawione bez naprawy, że zwłaszcza na wiosnę, w jesieni, lub w deszcz stają się wprost niedostępne. Stąd wypływa drożyzna żywności i materyałów budowlanych, których nikt nie waży się przywozić, chyba przynaglony nieodzowną potrzebą, a i ten „przeklinając necessitatem swego zarobku“. Dawniej dwie ulice dawały przystęp z Krakowskiego Przedmieścia do Wisły, obecnie o przebyciu ich z wozem mowy być nie może. Z innych stron dojazd do Warszawy jest również uciążliwy. Miasto zatem dla swego dobra powinno się postarać, ażeby

do niego z każdej strony przynajmniej jedna porządna droga publiczna prowadziła i aby o kilka staj od wjazdu kosztem miasta mogła być utrzymywana. Zapewni to niezbędną wygodę przyjeżdżającym i uwolni ulice od błota, obficie nanoszonego przez wozy, które zgarniają je przed samym wjazdem do miasta.

Już przybliżone obliczenie doprowadziło komisję do wniosku, że nawet najkonieczniejsze roboty „bez szczodrobliwej ręki JKMci i bez poparcia skarbu koronnego“ nie dadzą się wykonać. Jakoż Bieliński i do tego źródła dotarł i trzykrotnie uzyskał zapomogi, przytem nie jednorazowe, lecz na dłuższy czas rozłożone.

Jak wykazują „Sumaryusze percepty i ekspensy łokciowego“, przez komisję za czas od r. 1743 do 1762 sporządzone, zapomogi ze skarbu koronnego komisya obracała całkowicie na bruki, wpływy zaś z łokciowego—na utrzymanie w czystości ulic.

Z tych sumaryuszów widać, że od r. 1745 do 1761 Warszawie przybyło 38,311 sążni bruku ulicznego. (W tem większe przestrzenie: na Krakowskiem Przedmieściu 10,488 sążni, na Nowym Świecie 6,122, na Nowem Mieście 5,129, na ul. Senatorskiej 4,832). Komisya więc bynajmniej nie przesadziła, twierdząc w r. 1762, iż „miasto Warszawa, pełne przedtem kałuży, a dla nieodchodu kanałów pełne fetoru, niemające z różnych stron dowozu żywności i materyałów przystępu, daleko teraz w odmiennym widzą ci stanie, którzy przynajmniej od lat 20 zapamiętali“.

Niestety! sporo jeszcze ulic czekało na upo-



rządkowanie. Pisał też Bieliński w memoryale, podanym królowi w r. 1764: „Ma Warszawa już brukki na znaczniejszych miejscach, ma i wielkim kosztem fundowane przystępy do siebie, pryncypalnie od Wisły, od Ujazdowa, od Woli, od koszar gwardyi; ogólnie jednak biorąc, więcej niż czwartej części bruków nie dostaje“.

Taryfa opłat, wprowadzona przez Bielińskiego, nie wszystkim wydawała się słuszną, wywoływała skargi obywateli. To też Michał Mniszech, objąwszy marszałkostwo wielkie koronne i „chcąc, aby każdy podług istotnej gruntu i posesyi swojej przy ulicach publicznych rozległości łokciowe, na potrzeby publiczne i ochędóstwo miasta determinowane, opłacał, a żaden nad miarę swej posesyi i gruntu tąż opłatą nie był ciężonym“, przedsięwziął w r. 1784 nowy pomiar ulic, do obliczenia wszakże stopy podatkowej przyjął zasadę Bielińskiego, a więc uwzględniał i miejsce i liczbą sklepów, okien i piętr w domu i długość ściany frontowej. Dochód podług nowej taryfy miał uczynić rocznie zł. 64,395, ale wpływał nieregularnie i nie wystarczał na potrzeby miasta. Wobec tego komisya, dla braku funduszków—jak twierdziła—na kamienie i robotnika, odłożyła dalsze zabrukowywanie ulic do czasów pomyslniejszych.

Ostatni sejm Grodzieński, obaliwszy prawo o miastach sejmu czteroletniego, wznowił dla Warszawy Komisję Brukową, jako osobny wydział Komisyi Policji. Wybuchłe niebawem powstanie nie dozwoliło tej Komisji nawet rozpocząć czynności.

Dopiero w r. 1795, rosyjski komendant m. Warszawy, gen. Bukshewden, chcąc, „aby miasto Warszawa co do ochędóstwa, ozdoby, tudzież wygody, a tem samem zdrowia i życia mieszkańców rządowej doznawało opieki“, zamiast dawniejszej Komisji, ustanowił *Deputacyę Brukową*, składającą się z czterech osób z prezydentem miasta na czele.

Deputacya miała rozpocząć czynności dn. 15 lipca od ułożenia listy niezbędnych do pomocy oficyalistów i od sporządzenia dla nich instrukcyi, do „dawnych urzędzeń zblizonych“, a w dalszym ciągu miała przedewszystkiem dbać o to, aby wszystkie opłaty, przeznaczone na utrzymywanie bruków i ochędóstwa w mieście, były wnoszone regularnie, podług taryfy, „dawnych zwyczajów i urzędzeń“, a zaległości aby były ściągane. „Dochody takowe—brzmi § 6 przepisów dla Deputacyi—na żadne inne ekspensa i wydatki, jak tylko do zamiaru utrzymywania magazynu karowego, sporządzenia nowych i reparacyą starych bruków, kanałów, mostów mrowania (podług sposobności kasy), kanałów chędożenia z błota i wszelkich nieczystości, tudzież osuszania błotnistych ulic, reparacyą i powiększenie w murach magazynu karowego, jako też więzienia, Prochownią zwanego i tym podobne publiczne miasta Warszawy potrzeby“ obracane być nie mogą.

Źródła, z których pokrywano wydatki na układanie i utrzymywanie bruków w Warszawie, były rozmaite. Jeszcze w r. 1557 Zygmunt August zaprowadził na ten cel oddzielny podatek po groszu od wozów furmańskich, większych lub mniejszych, do przewożenia towarów w Warszawie i na jej

przedmieściach służących. Pobór tego podatku miasto wydzierżawiało przedsiębiorcom za ryczałtową opłatą roczną.

W wieku XVII nałożono nowy podatek na utrzymanie porządków miejskich; do uiszczania go byli pociągnięci wszyscy obywatele, nie wyłączając mieszkających w komornem.

Uregulowanie jednak tej sprawy, a właściwie wynalezienie nowych podstaw do słusznego opodatkowania, przypadło dopiero w udziale wiekowi XVIII. Szło mianowicie o to, aby bez zbytniego obciążenia obywateli wynaleźć źródło do zadośćuczynienia niezbędnym potrzebom miasta, i wtedy właśnie uznano za najodpowiedniejszy podatek „łokciowego“. Stało się to w r. 1743. Pomierzono wtedy fronty domów i określono opłatę od łokcia frontu, uwzględniając dochodowość domu zależnie od ulicy, liczby w nim sklepów i piętr. Podatek obowiązywał obywateli wszystkich dzielnic miasta, a więc Starej i Nowej Warszawy oraz przedmieść. W roku jego ustanowienia, wobec naglącej potrzeby doprowadzenia miasta do jakiego takiego porządku, miał być wypłacony we dwa tygodnie po ogłoszeniu, w następnych zaś latach w ciągu tygodnia, począwszy od dnia 1-go stycznia. Do ściągania podatku magistraty obowiązane były obrać podskarbach, którym wyznaczono za ich pracę po 1 groszu od każdego złotego.

W roku 1784 dokonano nowego pomiaru, aby wysokość opłat zastosować do zmian, w ciągu dwudziestolecia zaszłych, podstawa jednak obliczeń



i sam podatek trwał jeszcze w wieku następnym (do r. 1828).

Obywatele miasta uważali podatek łokciowy za zbyt uciążliwy dla siebie. Jakoż na posiedzeniach magistratu Starej Warszawy dwukrotnie (w r. 1743 i 1746) zapadały jednogłośnie uchwały, aby prosić o jego zniesienie. Prośby te skutku nie odniosły pomimo, że miasto uciekało się do poparcia osób wpływowych. Skargi więc przycichły i odezwały się dopiero w r. 1791, w druku, przez usta obywatela, „patrzącego przez okno na ulicę“. Nie zadowalał go ówczesny stan ulic i placów miejskich, wylał też żal swój w ten sposób: „W miastach — pisał — im więcej jest ludzi, tem o większe dbają o chędoństwo i wygodę“. Nie tak się dzieje w Warszawie, pomimo, że mieszkańcy sporo na to grosza łożą. „Wyrachowawszy—ciągnie dalej—co dla utrzymania tego porządku urzędnikom różnym płaci Rzeczpospolita, a jak wiele składek robią prywatni obywatele, strach pomyśleć, jak wielka jest suma! cóż z niej za korzyść dla stołecznego miasta Korony Polskiej“?

O ile oburzenie szlachetnego obrońcy współobywateli było usprawiedliwione poniekąd brakiem dobrego porządku na ulicach, o tyle „wyrachowanie“ jego co do olbrzymich kwot, jakoby na te porządki płynących, musimy położyć na karb omyłki lub krasomówczej przesady.

Co do ofiar osób prywatnych, nie pozostało jakoś po nich śladu w rachunkach Komisji Brukowej. Dowiadujemy się z nich o ofiarach samego tylko marszałka Bielińskiego, nie licząc darów króla,

który kilkakrotnie zrzekał się na bruki przypadających mu kaduków. Co zaś do owej „wielkiej sumy“, o której nawet „strach pomyśleć“, to już w chwili wprowadzenia podatku „łokciowego“ obliczono, że nie wystarczy na potrzeby miasta.

Jakoż istotnie Bieliński musiał szukać innych źródeł, niechcąc obciążać obywateli nowymi opłatami, a gdy skutkiem ciągłego zrywania sejmów nie mógł załatwić tej sprawy w drodze prawodawczej, zwrócił się o pomoc do króla. Zabiegi marszałka uwieńczyły się powodzeniem: na mocy uchwały senatus consilii wyznaczono w r. 1744 ze skarbu koronnego po 5,000 zł. co kwartał, w r. 1748 kazano wypłacać z tegoż źródła w ciągu lat sześciu po 10,000 zł. co kwartał, wreszcie w r. 1758 przedłużono wypłatę tej kwoty na dalszych lat sześć.

Ale i te zasiłki nie wpływały regularnie; gromadziły się zaległości, aż trzeba było umyślnej uchwały senatu z r. 1761, nakazującej „retenty“ i wyznaczone kwoty wypłacać w terminach właściwych.

Następnie sejm warszawski z r. 1768 przeznaczył 40,000 na „brukowanie na Pradze drogi ku Wiśle“, a po wykonaniu tego na most przez Wisłę i na konserwację drogi i mostu, oraz taką samą kwotę, t. j. po 40,000 zł. rocznie, na bruki w Warszawie.—Ubocznym dochodem Komisji była opłata „na trzymanie bruków“, nałożona w r. 1774 na przedsiębiorcę teatru warszawskiego w wysokości 4,000 zł. rocznie.

W jakich granicach wahały się dochody Komisji Brukowej, okazuje zestawienie lat kilku. W pierwszym roku od zaprowadzenia podatku „łok-

ciowego“, t. j. w r. 1743, wpłynęło (grosze i denary pomijamy) zł. 6,744 (ze Starej Warszawy 2,454 zł., z przedmieść 1,667 zł., od cechów i konfraternii kupieckiej „podług taksy“ zł. 560, reszta ze sprzedaży rzeczy, iure caduco na króla spadłych i przez niego Komisji przekazanych). W r. 1744 wpływy z różnych źródeł wzrosły do 14,290 zł., a w roku następnym osiągnęły nawet 30,000 zł. Dalej wszakże szło coraz gorzej; w rubryce „percepty“ za lata 1746, 1748 i 1750 znajdujemy sumy 14,960 zł., 9,849 zł. i 7,764 zł. Dopiero rok 1754, dzięki surowemu ściąganiu zaległości, pozwolił wrócić do kwoty już raz osiągniętej, mianowicie do 30,000 złotych.—Wogóle od r. 1743 do 1760 wpłynęło do kasy Komisji Brukowej zł. 258,281.

Wprowadzając opłatę łokciowego, Komisya Brukowa przypuszczała, że otrzyma z tego źródła rocznie około 28,000 złotych, nie licząc zapomogi ze skarbu, o której wtedy jeszcze nie myślano.

Nadzieje, aczkolwiek na pomiarach i obliczeniach oparte, zawiodły. Podatek wpływał nieregularnie, zaległości rosły, a na czele najmniej dbałych o dobro miasta znajdowali się możni panowie. To też Komisya, zdając sprawę z czynności swoich za czas od r. 1743 do 1762, zaznaczyła „z wielkiem podziwieniem, iż gdy łokciowe najubożsi wypłacają, znajduje się tych retentów najwięcej u znaczniejszych i dostatnich ludzi, mimo względ na zawstyżenie in Publico i mimo delikatność sumienia, i gdy ci więcej zużywają ochędóstwa publicznego i bardziej bruki rujną“.

Istniało jeszcze jedno źródło dochodu, oparte

nawet na przywileju królewskim, ale niewiadomo, czy kiedykolwiek było wyzyskane. Mówimy o loteryi *), pomyslanej przez tegoż marszałka Bielińskiego, a w r. 1761 przez króla na „wieczne czasy“ dozwolonej. Miała ona przysparzać środków na utrzymanie bruków i ochędóstwa ulic w stolicy, a nadto przyczyniać się do zatrzymania w kraju pieniędzy, wydawanych na różne loterye zagraniczne. Cenę losu oznaczono na tynfa, 8% od ryczałtowego dochodu przeznaczono Komisji Brukowej, 10% od wygranych na koszty urządzenia loteryi, druk biletów i t. d. Losy miały być sprzedawane w miastach korony i W. Ks. Litewskiego.

Deputacya Brukowa, na którą w r. 1795 przełano obowiązki Komisji, wzięła po niej w spadku następujące źródła dochodów: „1) podatek łokciowego od dziedziców i posesorów, 2) od konfraternii kupieckiej oraz cechów, 3) od teatru warszawskiego stosownie do prawa roku 1775, 4) od antreprzyzy fiaków, 5) od utrzymujących do najmu karety dzienne, „remizy“ zwane, lub kocze, kolaski, karyolki, sanki, 6) od widowisk publicznych wszelkiego rodzaju, 7) składki czyli opłaty na kanały, 8) od arendy placu nad Wisłą za więzieniem, Prochownią zwanem, sytuowanego, 9) od garkuchni i rzeźni żydowskich tak warszawskich, jako i praskich“.

Oprócz gotówki, z różnych źródeł różnemi

*) O pierwszym ciągnięciu, d. 4 maja 1762 r., znajdujemy „Uwiedomienie“ w „Warszawskich Extraordynaryjnych Tygodniowych Wiadomościach“ (1762, № 2 i 3); zaraz już jednak w roku następnym w tychże „Wiadomościach“ o loteryi głucho.

czasu czerpanej, Komisya Brukowa lub inne urzędy, obowiązane do układania i utrzymywania bruków, dostawały materyał w postaci kamieni i doznawały pomocy niektórych obywateli.

Mianowicie od r. 1777 wymagano, aby każdy, wjeżdżający do miasta wozem, zostawiał u okopów chociażby jeden kamień, na bruk przydatny. Stanisław August, wprowadzając to urządzenie dla Warszawy, przeznaczył owe kamienie na wybrukowanie wjazdów do miasta. Nakaz po jakimś czasie poszedł w zapomnienie; wznowił go departament policyi w r. 1796.

Współdziałanie obywateli polegało na tem, że sami, własnym kosztem, zabrukowywali ulicę przed swoimi domami, lub składali na to pieniądze do kasy Komisji, aby przyspieszyć roboty ku własnej wygodzie. — Pierwszy sposób był jakoby pozostałością prawa, które dawniej obowiązywało każdego, aby przed swoim domem miał ulicę na 7 stóp wszczubrukowaną, gdy na resztę „Ratusz nakład czynił“. Przykłady drugiego rodzaju dają nam ulice Bednarska i Warecka. W r. 1777 Adam Poniński, podskarbi wielki koronny, wybrukował „ulicę do mostu idącą“, zastrzegłszy sobie zwrot poniesionych wydatków „z dochodu dziewięcioletniej kontrahencyi lektyk“. Gdy jednak przedsięwzięcie to po roku upadło, zażądał 8250 zł. wynagrodzenia, które też mu Rada Nieustająca w r. 1779 przyznała. W roku zaś 1784 właściciele domów przy ul. Wareckiej złożyli na jej wybrukowanie 1480 złp. w gotowiźnie.

Co do bruków po jurydykach, znajdujemy taką wiadomość: W r. 1764 Potocki, starosta leżajski,

dziezic miasteczka Leszna, pisał do króla, że pragnąc go naśladować w dążeniach ku uporządkowaniu stolicy, zamierzył Leszno wybrukować, ale napotkał przeszkody. Mianowicie niektóre grunty w Lesznie dostały się ongi Krasieńskiemu pod pałac, oraz OO. Bonifratrom pod szpital. Ani Krasieński pałacu, ani Bonifratrowie szpitala nie wystawili, natomiast grunty swoje różnym osobom na czynsze wypuścili. Prosi tedy Potocki króla, aby władzą swoją zmusił czynszowników do wypłacenia pewnej kwoty, odpowiedniej do posiadanego placu, na wybrukowanie ulic, tudzież aby na wybrukowanie środkowych pasów ulicłożył skarb Rzeczypospolitej.

Podczas porządkowania ulic, przedsięwziętego przez marszałka Bielińskiego, jako „pierwszego komisarza Komisji Brukowej“, znajdowano na niektórych ulicach po dwa, a nawet po trzy pokłady starych bruków, zawalonych ziemią i śmieciami. Fakt ten wskazuje, jak dalece zaniedbywano konserwacyi bruków.

I pod tym względem jednak przedsiębrano różne zabiegi i zarządzenia.

Na początku XVIII w. trwał jeszcze dawny zwyczaj, obowiązujący każdego właściciela do naprawy bruku przed własnym domem. Obywatele wszakże lekceważyli obowiązek i dopuszczali do tego, że instygator pociągał ich o to przed sądy marszałkowskie. Tłumaczyli się tam to nieodpowiednią do robót brukarskich porą roku, to oczekiwaniem na pomiary geometry, aby wiedzieć, jaka przestrzeń ulicy do kogo należy i t. p.

Zarząd miejski również przypominał sobie co

czas jakiś o brukach, nieraz jednak zbyt późno, kiedy już trudno było myśleć o naprawie, a przychodziło nanowu ulicę brukować. W roku np. 1741, na posiedzeniu dn. 6 marca, zwrócili uwagę ojcowie miasta, że „bruki na wielu miejscach, osobliwie na Długiej ulicy popsowały się“, i uchwalili nowe „fundamentalnie i z gruntu kazać dawać, nie zaś łątać“.

Wydawano też różnemi czasy rozporządzenia, mające zapobiegać psuciu bruków. Zakazywano więc przewożenia na dwu kołach po ulicach miasta drzewa w balach z włokącemi się po bruku końcami i zrzucania ich bez podłożenia drągów; zalecano ostrożność przy zgarnianiu błota, aby piasku i ziemi z pomiędzy kamieni nie wyjmować; w tym celu Komisya Brukowa zabroniła nawet (w r. 1770) używania łopat żelaznych do uprzątniania ulic; gen. Bukshewden dostrzegł jeszcze jednego szkodnika, mianowicie dzieci swywolne, które pono „grzebały“ po ulicach, kamienie wyjmowały i bruk psuły; zagroził więc rodzicom i opiekunom karami (9.XII. 1795) za takie psoty ich malców. Głębiej sięgające było żądanie Mniszcha (1784 r.), aby bez wiedzy i zgody urzędu marszałkowskiego nie przekształcano rynsztoków i bruków, nie niżano ich lub podwyższano, nie zakopywano słupów pod rusztowania do budowy domów, i ażeby po ukończeniu robót doły zasypywano i bruk zepsuty kosztem własnym do porządku doprowadzano.

Deputacya Brukowa z r. 1795 miała już oddzielnego „dozorcę brukowego“ z płacą 500 zł. rocznie, a nadto przełożony jej — „regent policyjny“ — obowiązany był conajmniej dwa razy w tygodniu

objeżdżać ulice miasta; w tym celu „Magistrat y Porządki Ławy y Gminu Miasta“ w dn. 12 maja 1795 r. przeznaczyły mu powóz i po 1,000 złp. rocznie na utrzymanie koni.

Chodniki. Magier twierdzi, że chodniki po bokach ulic w Warszawie nastaly od r. 1784. Były to zapewne tylko owe „ścieżki wyższe brukowane“, o których istnieniu gdzieniegdzie wspomina autor „Myśli patrzącego przez okno na ulicę“ w r. 1791, radzi on bowiem wymierzyć przestrzeń, na dwa łokcie szeroką od domów, i oddzielić ją od ulicy baryerą z wolnemi w niej przerwami u wjazdów. Ta przestrzeń dwułokciowa ma odpowiadać „londyńskim trottoarom“ i nie będzie tam wolno wjeżdżać wozom, ani też sadowić się przekupkom.

O *rynsztokach* również nie wiele możemy powiedzieć. W wydatkach miejskich z r. 1782 wymieniono wprawdzie pensyę „rynsztokowego“, ale trudno jego przeznaczenie określić. Prawdopodobnie był to majster brukarski, utrzymywany do wytykania ścieków ulicznych. Pozatem z rozporządzenia marszałka Mniszcha z r. 1784 dowiadujemy się, że „pomyj, mydlin, fusów, lagrów i innych rzeczy, błoto pomnażających i fetor czyniących“ nie wolno było gdzieindziej wylewać, tylko do rynsztoków, tudzież że właściciele domów obowiązani byli podczas deszczów ulewnych wysyłać swoich ludzi, którzyby „rozrzedzając błoto, oneż rynsztokami do kanałów przegarniali“.

Kanały, w części murowane, przeważnie zaś dylami dębowemi cembrowane, szły środkiem ulicy,

były więc zwierzchu przykryte. Łączyły się z nimi niekiedy przykanaliki, idące od domów.

Prawidłową kanalizację ulic zaczął przeprowadzać marszałek Fr. Bieliński od r. 1745, czerpiąc na to fundusze z kasy Komisji Brukowej. Kiedy jednak posiadane środki nie wystarczały na wszystkie potrzeby, Komisja wydała w r. 1770 postanowienie, że każdy właściciel domu powinien przed swoją posesją swoim kosztem przekopać kanał, drzewem go ocembrować i utrzymywać w czystości. Spadek gruntu, kierowany oczywiście ku Wiśle, oznaczał geometra przysięgły.

Kanały były przeznaczone wyłącznie do odprowadzania wód deszczowych i wogóle odchodów płynnych, wszelkie przeto ich zanieczyszczenie, wrzucanie do nich gnojów i śmieci były zakazane. Kilkakrotne przypominanie tego zakazu, jak również wytaczanie spraw sądowych wskazują, że działa się często inaczej; kanały ulegały nieraz całkowitemu zatkaniu. Utrzymywanie w czystości i naprawianie kanałów, włożone pierwotnie na barki obywateli, przyjęło na siebie w drugiej połowie XVIII w. miasto i ustanowiło do dozoru nad niemi oddzielnego oficjalistę.

Czytaliśmy już wyrzekania cudzoziemców i swoich na **nieochędstwo** ulic warszawskich. Godzi się również poznać zabiegi, aby ten stan naprawić, przedsiębrane niestety! z małym skutkiem.

Na kim właściwie polegał obowiązek uprzątnięcia ulic? Jak pouczają przykłady, jeszcze w poło-

wie XVII wieku nie było pod tym względem ustalonej zasady. Np. w r. 1641 magistrat uchwalił, aby każdy obywatel przed swoim domem ulicę oczyścił i błoto wywiózł. Tegoż samego roku magistrat „dla pewnych racyi“, bliżej nie wskazanych, podjął się uprzętnąć pewną ulicę do połowy z właścicielami domów. W r. 1695, na wniosek ławników i gminnych, postanowiono kupić konie „dla wywożenia błota i potrzeby wszelakiej miejskiej“. Pomiędzy to, jeszcze niemal w pół wieku później (1739 r.) „dekret“ radziecki orzeka, iż „chędożenie ulicy Długiej“ należy w połowie do miasta, w połowie zaś do właścicieli domów.

Dopiero Komisya Brukowa, w r. 1743, ustanowiła zasadę, trwającą do dziś dnia, mianowicie, że właściciele domów nie mają prawa wyrzucać na ulice śmieci i błota z podwórz swoich, że są obowiązani zgarniać na ulicach śnieg i błoto w kupy, miasto zaś zajmuje się wywózką. Do tego ogólnego prawidła Komisya, chcąc ulżyć sobie ciężaru, któremu sama poddać nie mogła, dodała jedynie zastrzeżenie, że na wiosnę, kiedy błoto gromadzi się w większej ilości, obywatele powinni wywozić je własnym kosztem.

Komisya Brukowa prowadziła czynności swoje w ciężkich warunkach, aczkolwiek całe „łokciowe“, przeznaczone na bruki i ochędóstwo miasta, obracała na utrzymanie w czystości ulic, wyjednawszy na brukowanie zasilek ze skarbu.

Przysparzali jej pracy obywatele, z przyzwyczajenia wyrzucający wszelkie plugastwo z domów na ulice, za co bywali często strofowani, przestrze-

gani, a nawet karani. Na stróżach miejskich ciążył z polecenia Komisji Brukowej obowiązek „podrzucających na ulice i przed cudze posesye śmieci i fecessa dostrzegania,... chwywania i do aresztu oddawania“. Straż nocna obywatelska, zaprowadzona przez magistrat w r. 1795 na rozkaz Bukshewdena, pomiędzy innemi miała również pilnować, „jeśli kto śmieci czyli jakich innych nieczystości na ulicę nie wyrzuca lub kosztami nie wynosi“.

Ulice uprzątano w pewnych określonych terminach; tylko nadzwyczajne okoliczności (głównie obchód Bożego Ciała) skłaniały do oporządzenia się bez względu na termin. Tak np. dn. 3 marca 1738 r. instygator obwieścił: „Szlachetny Jegomość Pan prezydent miasta JKMcí Starej Warszawy wszystkim, tak mieszczanom, jako też i obywatelom, w mieście i po przedmieściach mieszkającym, surowo przykazuje, aby w dzień święty, który nam kościół święty przykazuje czcić i obserwować,... ulice wszystkie ochędożnie trzymać, błota z nich wywozić, także drwa po ulicach sprzątać, przez które tak przechodzącemu, jako i przejeżdżającemu dla ścieśnienia drogi publicznej wielka jest niewygodą“.

Podobnie, w dniu 4 sierpnia 1740 r., magistrat wydał taką odezwę do mieszkańców: „Mości Pano wie, raczcie Waszmość wiedzieć, iż Jaśnie Oświeceni, Jaśnie Wielmożni, Wielmożni Ichmość Pano wie Komisarze JKMci i Rzeczypospolitej, przez sejm i konstytucyą koronną anni 1685 naznaczeni do uczynienia porządku około naprawy dróg i kanałów w tym mieście i cirkumferencyi jego po przedmieściach i zacieśnionych dróg rozprzeźstrzenia, a za-

gubionych otworzenia, po zafundowaniu swojej Jurzydykcji Komisararskiej, wprzód niżeli do tej ordynacyi, zniósłszy się z Szlachetnym Magistratem, uczynienia przystąpią, przykazali i przykazują dekretem swoim, aby wszyscy obywatele tak miasta Starej, jako i Nowej Warszawy, tudzież gospodarze pałaców, dworów, kamienic, domów, tak miejskich, jako i szlacheckich i duchownych błota, gnoje, ziemie z przed tych pałaców, dworów i dworków, kamienic, domów i ogrodów jako najprędzej, niż dwie niedziele wyjdą od publikacyi tego dekretu, wywozić, drzewa, któremi ulice zawalone, uprzętać kazali i na potym tychże ulic publicznych błotem, gnojem, ziemią i śmieciami, także drzewem zawalać się nie wazyli, i one co tydzień każdy przed swą kamienicą rynsztoki chędożyć kazali“.

Zdawałoby się, że po tak stanowczych, wielokrotnie powtarzanych rozkazach, utrzymywanie czystości na ulicach wejdzie w zwyczaj, stanie się potrzebą, odczuwaną przez samych mieszkańców.

Tymczasem zobaczymy, co się działo w ćwierć wieku później. W r. 1764 Komisya Brukowa stwierdziła na ulicach Warszawy okropne nieporządki. Na Dunaju np. „od kilku lat nie można prawie ani karetą, ani koniem jechać, a to z tej racyi, że wszystkie rynsztoki tak z samego Rynku jako też i z miasta miały spadek w kanał robiony, dylami po bokach należycie opatrzone, przed którym kanałem krata była dana wielka, która miała przeszkadzać, aby nigdy nie zatykał się“. Tymczasem właściciele kamienic, posiadając stajnie, wychodzące na Dunaj, „od kilku lat“ nie kazali wywozić gnojów, ale wy-

rzucali je wprost na ulicę i „połowę jej zawalili“. Nadto rybacy, mający tu swoje miejsca do sprzedaży ryb, zlewają dużo wody i nieczystości do kanału, a że ten jest zatkany, więc wszystko rozlewa się po ulicy i dostaje się nawet do piwnic domów.

Uznano z czasem, że uprzążanie ulic raz w tygodniu nie wystarcza. W r. 1765 magistrat proponował podzielić miasto na dzielnice, a w każdej innego dnia oczyszczać ulice, tak jednak, aby na każdą ulicę przypadły porządki dwa razy w tygodniu. Urząd marszałkowski ówczesny w swoich „dyspozycjach“ podziału nie uwzględnił, nakazawszy właścicielom domów zgarniać błoto i śmiecie z ulic w całym mieście we środy i soboty. Po upływie lat dwudziestu, marszałek w. k. Michał Mniszech polecił, aby każdy właściciel domu „za obwieszczeniem przez grzechotkę“ śmiecie, śnieg i błoto „przynajmniej“ trzy razy w tygodniu, t. j. w poniedziałki, środy i soboty zgarniać kazał w kupy „okrągłe na ulicach szerokich, zaś na ulicach wązkich, ułatwiając i zostawiając wygodny przejazd, — w kupy podługowate“.

Jak długo kupy śniegu i błota leżały na miejscu, nim je wozy miejskie zabrały, niepodobna z akt wymiarkować. Należy przypuszczać, że wobec niedostatecznej na potrzeby miasta liczby kar, sprawa ta nie była załatwiana z pożądanym pośpiechem. Jakoż niebrak utyskiwań na „nieregularne chędożenie ulic w Warszawie“ i usiłowań zaprowadzenia pewnego ładu. Oto w r. 1792 magistrat zażądał, aby wozy miejskie („kary“) były co tydzień dostarczane do rozporządzenia wójtów i inspektorów cyr-

kułowych w takiej kolei i liczbie: do cyrkułu I w poniedziałki i środy kar 6, do cyrkułu II we wtorki kar 5, do cyrkułu III we środy i czwartki kar 6, do IV we wtorki kary 3, do V w piątki kary 3 i do VI w soboty kary 3; zbywające kary miały zajmować się uprzążaniem targowisk publicznych.

Wyliczenie to dowodnie wskazuje, że miasto posiadało bardzo mało wozów. Jeszcze w r. 1743, przystępując do założenia „magazynu karowego“, marszałek Bieliński obliczył, że na początek trzeba będzie zaopatrzyć się przynajmniej we 40 kar. Musiał jednak i w tym, i w następnym roku poprześcić na siedmiu zaledwie wozach, do których sam ofiarował cztery konie. I później dawał na to nieraz gotówkę, konie, owies. Dopiero w r. 1745 sprawiono 9 nowych kar. Następnym lat nie słychać wcale o zwiększeniu taboru miejskiego.

Do dozoru magazynu Komisya Brukowa radała powołać człowieka „w rzetelności doświadczonego i z wszelkiem rozgarnieniem“, najlepiej „architekta“, któryby jednocześnie kierował układaniem i naprawą bruków, odnawianiem starych kanałów i innymi robotami miejskimi. Nadto żądała przynajmniej trzech dozorców do pilnowania robót i porządków w mieście, oraz placu, najstosowniej nad Wisłą dla umieszczenia magazynu. Miał on składać się z szopy do wozów i szopy na siano, stajni więcej niż na 40 koni, śpichlerza na owies, domu na mieszkanie dozorców i parobków, wreszcie z „dostatecznego“ podwórza do składania kamieni, wapna, drzewa, żelastwa i wszelkich innych materyałów, potrzebnych do robót.

Zatem magazyn karowy posiadał znacznie mniej koni i wozów, aniżeli wymagała potrzeba i obliczał Bieliński. Mniej wiemy o obsłudze w ludziach, która zapewne także nie dorównywała żądaniom Bielińskiego.

W r. 1767 było czterech „dozorców do chędożenia miasta“. Liczba ta nie odpowiadała potrzebie, więc Komisya Brukowa zażądała, aby miasto trzymało od siebie dwu jeszcze dozorców, na co zarząd Starej Warszawy odpowiedział, że opłaca łokciowe od nieruchomości miejskich i od ratusza, nie poczuwa się tedy do obowiązku ponoszenia nowego ciężaru. W r. 1784 był już tylko jeden „dozorca ochędostwa“; w r. 1795—trzech. Wogóle zaś spis urzędników Deputacyi Brukowej wymienia: regenta, intendenta magazynu brukowego, architekta, konduktora przy architekcie, egzaktora i kasyera, intendenta karet, instygatora, trzech dozorców ochędostwa, dozorcę karowego, dozorcę nad parobkami, dozorcę brukowego, woźnego, wreszcie mistrza sprawiedliwości, czyli kata.

Kiedy Deputacya Brukowa objęła spadek po takiejże Komisyi, znalazła magazyn karowy „z przyczyn w kraju zdarzonych znacznie uszkodzonym i uszczuplonym“. Wobec tego gen. Bukshewden, wyliczywszy wpływy, które miały zasilać kasę Deputacyi, zastrzegł, że nie wolno ich obracać na żadne inne cele, „jak tylko do utrzymywania magazynu karowego, sporządzenia nowych i reparacyą starych bruków, kanałów, mostów murowania (podług sposobności kasy), kanałów chędożenia z błota i wszelkich nieczystości, tudzież osuszania błotni-

stych ulic, reparacją i powiększanie w murach magazynu karowego, jako też więzienia, Prochownią zwanego i tym podobne publiczne miasta Warszawy potrzeby“.

Marszałek Bieliński, żądając na początek 40 wozów i odpowiedniej liczby parobków, już w r. 1743 przewidywał, że siły te nie wystarczą na doprowadzenie i utrzymanie ulic miasta w porządku, zawarował też zaraz, aby raz do roku, mianowicie na wiosnę, kiedy się zwykle gromadzi więcej błota, wywozili je własnym kosztem obywatele. Skutkiem jednak skąpszego, aniżeli żądał marszałek, zaopatrzenia magazynu karowego w wozy, konie i ludzi, należało sobie zapewnić pomoc skądinąd.

Wrócono więc do sposobu, zaprowadzonego za Władysława IV. Król ten w r. 1644 potwierdził uchwałę magistratu, opiewającą, że furmani zawodowi, trudniący się przewożeniem ciężarów, kamieni, wapna, cegły i t. d., powinni raz lub dwa razy na miesiąc wywozić z miasta błoto i śmiecie na swoich wozach, a to dlatego, że ciągnąc zyski ze swojego sposobu zarobkowania, psują bruk i zanieczyszczają ulice. Postanowienie to potwierdzili następcy Władysława IV, ale dla braku sprężystej władzy, nie pilnowano ściśle jego wykonania, aż wreszcie całkiem o niem zapomniano.

Odrzebał je magistrat w r. 1734 i nawet polecił instygatorowi spisać wszystkich „furmanów“, ale dopiero w pięć lat później (29 sierpnia 1739 r.) August III wznowił je w całości osobnym reskryptem.

Przystępując do swoich czynności, Komisya Brukowa w r. 1740 powołała się na ów reskrypt,

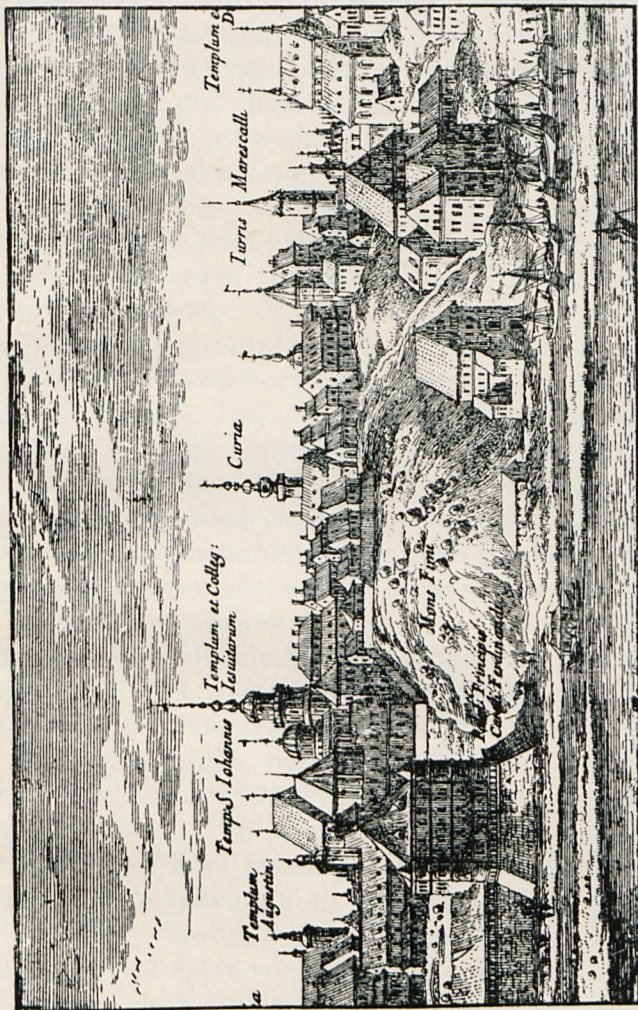
furmanom zawodowym nakazała „w registr się wpi-
sywać“ i stawać z wozami dwa razy co miesiąc do
rozporządzenia prezydenta, czyścić ulice publiczne
i błoto z nich wywozić pod groźbą „zabrania koni
i wozów“.

Wiosna 1795 roku zapowiadała snać więcej
roboty niż zwykle, albowiem Deputacya Brukowa
powołała do pomocy wszystkich właścicieli koni,
bez względu na to, czy trzymali je dla zarobku,
czy też dla własnej wygody. Nie byli wolni od
tego obowiązku nawet właściciele jednego konia.
Każda fura miała być czynna przez trzy dni, od
godz. 7 do 11 rano i od 1 do 5 po południu.

Wywożenie padliny, jakoteż chorych sztuk by-
dła, pozostawionych na ulicy, należało do mistrza
sprawiedliwości za opłatą ryczałtową. Teżże czyn-
ności obowiązany był dopełniać, za przewidzianą
w umowie z nim opłatą, na żądanie mieszkańców,
jeżeli u nich w domu padło jakie bydło. Wyrzucanie
padliny z domu na ulicę było zakazane i przy-
łapany na tem płacił mistrzowi takse podwójną.

Surowo i wielokrotnie zakazywały władze wy-
rzucania śmieci i błota z podwórzy domów na ulicę,
wskazawszy obrane po temu miejsce nad Wisłą.
Tam również zwożono i składano na kupę nieczy-
stości uliczne. Kupa rosła, aż przybrała rozmiary,
dzięki którym mogła się już ubiegać o nazwę dla
siebie odpowiedniejszą, jakoż nazwano ją *Góra
Gnojową*.

Można stanowczo twierdzić, że magistrat, wy-
znaczając miejsce do składania nieczystości, miał
wyłącznie na względzie wygodę mieszkańców, nie



GÓRA GNOJOWA „MONS FIMI”

z panoramy Warszawy w dziele Pufendorfa „de rebus Carolo Gustavo rege gestis”.

myśląc zgoła o ich zdrowiu. Owa góra leżała wprawdzie za murami miasta, ale tuż poza pałacem biskupów poznańskich, obok zabudowań gospodarskich OO. Jezuitów, pod bokiem Zamku królewskiego i szkół jezuickich; prowadziła do niej z Rynku Staromiejskiego uliczka Gnojna (dzisiejsza Celna).

Składano więc tam śmiecie, nawóz koński, błoto. Wyrastała góra — istna osobliwość miasta — do takich rozmiarów, że już tam więcej nic się pomieścić nie dawało. Wtedy niwelowano ją, zrzucając nadmiar nagromadzonych nieczystości do Wisły. „Góra Gnojowa — czytamy w uchwale miejskiej z dn. 18 czerwca 1691 r. — ponieważ jest bardzo zarzucona gnojami i śmieciami tak dalece, że do niej jest bardzo trudny przystęp. Zaczem conclusum onę szarwarkiem chędożyć i do Wisły znieść, jako przedtem była porównać, do którego szarwarku wszyscy in genere mieszczanie i obywatele przyłożyć się powinni nemine excepto“. I ten przymus wydawał się wielu ojcom miasta zbyt uciążliwym, uradzili więc w r. 1694 „na przyszłość sposób obmyślić, aby te szarwarki nie bywały“.

Nie wynaleziono oczywiście innego sposobu, skoro w dn. 2 marca 1722 r. znowu zapadła uchwała w tych słowach: „Ponieważ Góra Gnojowa bardzo zaprzątniona, a Król Imość prospektu wolnego potrzebuje i o to rekwirują (!), conclusum, aby szarwark według dawnego zwyczaju jako najprędzej naznaczyć i też Górę wyprzątnąć, a potem, jako ma być napotem konserwacya placu na tej górze wolnego, sposób obmyślony ma być“. Jakoż obmyślono. Mianowicie w r. 1725 uradzono „chałupę“ kosz-

tem miejskim u podnóża góry wystawić i pacholków tam osadzić, aby ci „ochędostwa przestrzegali i zawałać onej nie dopuszczali“.

Czy zamiar doszedł do skutku, nie wiemy; jest wprawdzie w r. 1768 mowa o „domostwie“ miejskiem, „na Gnojowej Górze sytuowanem“, ale nie ma dowodu, aby tam mieszkali i czuwali owi pacholki. Wiadomo natomiast, że wszystko się działo podawnemu, i nawet „nocni“, t. j. czyściciele kloak, składali na Gnojowej Górze zawartości dołów kloacznych.

W r. 1765 urząd marszałkowski zakazał wynoszenia i wywożenia „śmieci, gnojów i fecesów“ na Górę Gnojową, a jednocześnie magistrat zajął się wyszukaniem innego na ten cel miejsca. Aliści w szeregu uchwał z r. 1775 znowu czytamy zalecenie, „ażeby śmiecie i fecesy na ulicę wylewane i wynoszone nie były, lecz na Górę Gnojową, jako dawne przykazy i obwieszczenia zaszły“. Okazuje się, że magistrat wyznaczył inne miejsce — nad Wisłą, przy Prochowni, wprost ulicy Mostowej—tylko dla nieczystości kloacznych, aby zapobiedz „fetorom do Zamku idącym“.

Okolo r. 1774 z nakazu króla Górę Gnojową, jak pisze Magier, obłożono darniną i nadano jej nazwę Góry Zielonej. Nazwa ta nierychło się przyjęła. I nic dziwnego, skoro przeznaczenie jej pozostało dawne, a sprawa całkowitego uprzątnięcia góry przeciągnęła się do połowy wieku następnego.

Jeszcze jedno wspomnienie wiąże się z Górą Gnojową. Oto w r. 1766 Michał Ogiński, wojewoda wileński, zamierzył z materiału, na górze

zgromadzonego, wydobywać saletrę i w tym celu zawarł z miastem umowę na lat 20, zobowiązawszy się płacić rocznie po 3,500 złp. I w tymże roku komisarze Dobrego Porządku wpisali w rubryce dochodów miejskich „prowent z Gnojowej Góry“.

Pierwszą wzmiankę o *polewaniu ulic* spotkałiśmy pod r. 1792. Magistrat nakazał mianowicie wójtom III, IV i V cyrkułów wezwać piwowarów, aby ci w dniu 3 maja o godzinie czwartej z rana dostarczyli „jaknajwięcej“ wody w beczkach na Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, właściciele zaś domów przy tych ulicach aby przysłali ludzi do „skrapiania“. Widzimy, że szło tu o wyjątkowy przypadek (obchód rocznicy nowej ustawy rządowej). Nie był to jeszcze początek stałego polewania ulic.

Hygiena, wychodząc z zasady, że „im gdzie ciemniej, tem brudniej“, zwraca również uwagę na **oświetlenie ulic** miasta, chociaż sprawa ta, sama przez się, tylko ubocznie należy do jej zakresu.

Owóz w okresie przez nas rozpatrywanym, t. j. przez wiek XVIII, Warszawa była pogrążona w mrokach nocnych, o ile ich nie rozpraszały chwilowo promienie księżyca. Boć te latarki, które pierwotnie zawieszano gdzie niegdzie na domach i które w dziejach oświetlenia ulic warszawskich kroczą na czele, jako pierwsze zwiastuny dalszych postępów, same nie wiele mogły zdziałać.

Pierwsze latarnie zawisły w bramach miejskich—Krakowskiej i Nowomiejskich tudzież na ra-

tuszu Starej Warszawy w r. 1754. Na wniosek ówczesnego prezydenta Jana Dulfusa, w dn. 26 sierpnia tego roku, trzy koła, składające magistrat, uchwały ściągać po 2 grosze od każdego złotego podatku pogłównego na pokrycie kosztów zakupu lamp i ich opalania.

August III wydał dn. 24 grudnia 1759 r. oddzielny „reskrypt“ do magistratu, ale sprawy zbytnio nie posunął, polecił bowiem tylko, aby liczbę latarni w dwu wymienionych bramach miejskich zwiększono do czterech w każdej i aby paliły się co noc przez zimę i lato. Celem pokrycia nowych kosztów uwolnił magistrat od składania — podług dawnego zwyczaju — darów dostojnikom państwa w wigilie Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, oraz pozwolił pobierać pewną kwotę od urządzających reduty lub inne zabawy publiczne w czasie przez kościół dozwolony. Wtedy też magistrat, na posiedzeniu dn. 29 sierpnia, postanowił, „aby latarnie po bramach dawać i dla pilnowania latarni aukcyonować pachółków, na fundusz teje ekspensy aby wybierać proportionatum quantum z kaffehausów, redut i od obcych ludzi, komedye wyprawujących“. Nadto w r. 1764 uznał za potrzebne ustanowić osobnego dozorcę „opalania lamp“ w osobie ławnika Jana Hochiera z oddzielną „konsolacją“ dla niego za tę pracę dodatkową.

Byli więc oddzielni pachółkowie, był oddzielny dozorca, tylko latarni, niestety! było bardzo mało.

Znaczny natomiast postęę widzimy w tym kierunku od r. 1777, za marszałkowstwa Stanisława Lubomirskiego. Dn. 22 grudnia magistrat, na we-

zwanie króla, uchwalił zaprowadzić stopniowo oświetlenie ulic, poczynając od pierwszorzędných, i polecił wykonać tę uchwałę swojemu urzędowi ekonomicznemu, upoważniwszy go do pobierania nałożonej w tym celu na obywateli opłaty i do ściągania jej od opornych „bez przypozwu“.

„Co się zaś tycze opalania takowych latarni— czytamy w uchwałach magistratu — aby porządek jaknajlepszy około tego był zachowany, tedy po naradzeniu się ustanawiają (t. zw. porządki, t. j. rajcy, ławnicy i gminni), aby gdzie w rozległości 30 kroków latarnia między trzema kamienicami przybita będzie, trzech posesorów kamienic lub domów one kolejną w tydzień opalało, gdzie między dwoma posesyami — to dwu, a gdzie w obszernej posesyi na jednego latarnia lub więcej przypadnie, tedy jeden opalać ma. Zapalanie tych latarni ma się zaczynać od porównania dnia z nocą jesiennego i trwać powinno aż do porównania dnia z nocą wiosennego, zapalając zawsze też latarnie zaraz na zmierzchu“.

We wrześniu roku następnego niektóre ulice miały już latarnie, zawieszone na ścianach domów w oddaleniu jedna od drugiej na 30 kroków; inne były jeszcze w robocie. Aliści „osoby stanu duchownego i szlacheckiego“, posiadające domy w mieście, odmówiły swoim zwyczajem uiszczenia uchwalonej opłaty. Zwrócono się tedy do króla. Jakoż zapadła odpowiednia rezolucya Rady Nieustającej, którą Stanisław August zatwierdził. Opiewa ona, że magistratowi służy prawo uchwalać podatki „dla ustanowienia porządków publicznych“, że od opalania latarni nikt nie jest wolen i że przeto urząd

marszałkowski powinien przyjść w pomoc urzędowi ekonomicznemu miejskiemu i skłonić opornych do posłuszeństwa.

Niestety! nakaz pozostał martwą literą: panowie „temu urządzeniu ulegać nie chcieli, skąd dzieło to skutku swego nie wzięło“. Obywatele „kondycyi miejskiej“, biorąc przykład z góry, zaniechali także opalania latarń, więc urząd ekonomiczny więcej ich nie sprawiał.

Taki stan rzeczy nie mógł atoli trwać długo. Sprzeciwiały się temu względy wygody i bezpieczeństwa publicznego.

Jakoż wkrótce, bo w r. 1784, zajął się tą sprawą nowy marszałek Michał Mniszech. Wychodząc z zasady, że ciężar opalania latarń powinien obarczać tych, którzy w jakibądź sposób ciągną zyski z publiczności, wydał odpowiednią dyspozycyę dn. 30 grudnia, oznaczając termin jej wykonania na dzień 1 lutego r. 1785. Pociągnięci więc byli do opłaty rzemieślnicy, aptekarze, cyrulicy, księgarze, utrzymujący zajazdy, szynki, handle i t. d. Co zaś do właścicieli domów, tuszył Mniszech, że sami zaprowadzą oświetlenie. „A jako przykład osób wyższych—pisze on—do wykonania wszystkiego mocniejszy jest nad wszelkie nakazy zwierzchności, tak spodziewać się należy, że JOO. JWW. WW. dziedzice i posesorowie pałaców, domów, kamienic, ile z opalania latarń przez innych wygody i bezpieczeństwa doświadczający, wzajemnego użytku w tej mierze udzielając i uboższych do punktualnego opalania w nocy światła swym przykładem zachęcając, dla wygody tak własnej, jako i powszechności, ze-

chcą się skłonić do tak pożytecznego urządzenia i zalecić punktualne światła w latarniach przed swemi posesyami opalanie“.

Rzeczą jest wielce wątpliwą, czy ta grzeczna przymówka trafiła do przekonania Jaśnie Oświeconych i Jaśnie Wielmożnych, którzy stale uchylali się od wszelkich ciężarów, na korzyść i ozdobę miasta przeznaczonych. „Pospółstwo“ zaś i „profesjonalisci“ uczuli się pokrzywdzonymi przez zarządzenie marszałka i zwrócili się o pomoc do magistratu. I szlachetny urząd wystąpił w ich obronie i wyjednał odroczenie terminu.

Magistrat był zdania, że opodatkowanie tylko rzemieślników i innych procederystów nie jest sprawiedliwe, prosił tedy marszałka o powrót do systemu, zapoczątkowanego w r. 1777, który nakładał ciężar opalania latarni na wszystkich posiadaczy domów. Projektował dalej magistrat, aby w rynku i na główniejszych ulicach latarnie były zawieszane co 15 łokci, na ulicach zaś bocznych aby każdy właściciel opalał jedną latarnię przed swoją posesją, wreszcie aby latarnie paliły się tylko przez 8 miesięcy w roku, ponieważ od maja do sierpnia wystarczyć mogą zorze nocne.

Marszałek przystał na ten projekt, więc już w styczniu 1786 r. budowniczo wie z ramienia urzędu marszałkowskiego i miejskiego wytknęli miejsca na latarnie w ulicach co główniejszych.

Istnieją poszlaki, że i tym razem sprawa utknęła na samym początku. Kilkakrotnie już przytaczany obywatel warszawski, „patrzący przez okno“, tylko w wyobraźni swojej zachwycał się widokiem, jaki

mogą dać latarnie „w jednej od siebie odległości, dajmy o 70 kroków, a w jednej od ziemi wysokośći na słupach osadzone“.

Wisiały więc latarnie przed domami, szynkow-
niami, zajazdami, ale właściciele nie śpieszyli się
z ich zapalaniem i, wyszedłszy już nawet w tym
zamiarze przed dom, upatrywali wpierw strażnika,
a nie zoczywszy go, wracali do izby. Czterech było
strażników na całe miasto do pilnowania oświetle-
nia, więc oczywiście nie mogli wszędzie zajrzeć.
Nic przeto dziwnego, że Szulz w opisie Warsza-
wy z r. 1793 twierdzi, iż miasto wcale nie jest
oświetlane. Skarży się też na brak oświetlenia ulic
Magier, już za czasów pruskich i widzi przyczynę
tego w zbytnej pobłażliwości policji, która tylko
„parę razy do roku dla szczególnych może zysków
ogólnie wszystkich prawie właścicieli karała za nie-
dopilnowanie kiedyś światła w latarniach“.

Ostatni krok na drodze oświetlenia ulic War-
szawy przypadł w XVIII wieku na rok 1795. W ma-
ju tego roku magistrat wybrał z grona rajców, ławni-
ków i gminnych oddzielną delegację do opraco-
wania projektu oświetlenia miasta, „wymienienia
ulic, któreby tylko oświeconemi być powinny; ozna-
czenia i opisania, jakim sposobem te latarnie po-
stawione być mają; wyrachowania kosztu tak na
dopełnienie urządzenia w postawieniu porządnem
latarni, jako też na samo opalenie tychże latarni;
naostatek obmyślenia funduszu na to“. Do czasu
wykończenia projektu policja wymagała, aby na uli-
cach wybrukowanych paliła się latarnia przed każ-
dym domem na koszt jego właściciela.

Domy. Policya budowlana, której powstanie w Europie należy odnieść dopiero do wieku XVII, stosowała właściwie tylko przepisy administracyjne, nie biorąc zgoła pod uwagę potrzeby zachowania warunków sanitarnych, lub też uwzględniając je w nader małym stopniu. W miastach polskich, posiadających samorząd, moc stanowienia uchwał pod tym względem należała do magistratów. Jakoż zapadały postanowienia, a nawet istniał, w niektórych przynajmniej większych miastach, urząd budowniczego miejskiego, w Warszawie — „architekta jurysdykcji marszałkowskiej“ i „architekta policyjnego“.

Co do uchwał, dość rzadkich, zaznaczyć trzeba, że nie prześwieca w nich nigdzie myśl o zdrowiu mieszkańców, jeno o wygodzie dla ruchu ulicznego, a głównie o bezpieczeństwie od ognia. O samych zaś budowniczych miejskich, przynajmniej w wieku XVII, polegając na uchwale magistratu warszawskiego z r. 1620, można powiedzieć, że nie byli to koniecznie fachowcy, lecz wprost członkowie rady miejskiej, do dozoru nad budynkami wybierani. Uchwała pomieniona brzmi: „Pan budowniczy ma być *ex medio conclusum* obrany, który ma zawiadować o tem, co do budynku należy“. Starano się zapewne wybierać człowieka odpowiedniego, ale nie zawsze taki mógł się znaleźć w gronie rajców.

Brzmienie przytoczonej uchwały nie daje nawet pewności, czy nie chodziło tylko o dozór nad budowlami miejskimi i ich konserwacją z pozostawieniem domów prywatnych całkowicie do woli ich właścicieli. Jakże bowiem objaśnić sobie fakt,

że domami zabudowywano ulice, zajmując grunty miejskie, lub stawiając „budy“ kupieckie na kanałach, jak mamy tego przykłady w Warszawie. Niektóre ulice tą tylko drogą zupełnie zaginęły, jak np. Baryczkowska. O jej zabór toczyły się długie spory, a kiedy, w r. 1765, zajęła się tem Komisya Dobrego Porządku, ulica była już całkiem zabudowana przez jedenastu prywatnych właścicieli domów.

Po spustoszeniu Warszawy przez Szwedów i Siedmiogrodzian, sejm 1659 r. wyznaczył komisję do uregulowania dawnych i wymierzenia nowych ulic, „aby budynki, które nowe stawione będą, publicae securitati et decori nie przeszkadzały“. Dyspozycye urzędu marszałkowskiego dla Warszawy z r. 1765 zakazują, „aby w miejscach, przez Komisję Brukową wyrażonych, nikt nie ważył się budować, a na ulicę tąż budową występować, i nikt żadnej fabryki zaczynać, dokądby się Juryzdykcji Marszałkowskiej nie opowiedział“.

Potrzeba ponawiania tych zakazów w latach następnych dowodzi, że nie były ściśle przestrzegane.

Przepisy marszałka Mniszcha z r. 1784 wymagały, aby ścieki z domów na ulicę były prowadzone równo z brukiem, a nie wyżej od niego, i aby były oddzielane gęstą kratą żelazną, któraby do rynsztoków niczego, prócz płynów, nie przepuszczała; aby kloaki były budowane w tyłach posesyi, zdala od ulicy „dla nieczynienia przykrości przechodzącym“; aby wreszcie nikt bez wiedzy i upoważnienia urzędu marszałkowskiego domów i dachów drewnianych nie naprawiał.

Zaznaczyliśmy już, że w przepisach budowlanych brano przedewszystkiem pod uwagę bezpieczeństwo od ognia, jakoż dążono stale ku temu, aby przynajmniej z główniejszych ulic usuwać budynki drewniane i zastępować je murowanemi. Przędowała w tym kierunku Stara Warszawa. Już od r. 1431 niewolno było w rynku Starej Warszawy stawiać domów drewnianych. Lustracya z r. 1564 mówi: „są dwie mieście od siebie oddzielone, jedno murowane, które zowią Stare Miasto, a drugie drewniane, które zowią Nowe Miasto“. Paweł Mucante w r. 1596 świadczy, że wszystkie domy Starej Warszawy są z cegły murowane. Inne dzielnice miasta powolniej zastępowały belki cegłą. W r. 1648 Władysław IV polecił magistratowi Starej Warszawy, aby na Krakowskiem i innych przedmieściach, jurydykcyi tego magistratu podległych, nie pozwalał stawiać domów drewnianych, owszem, aby nakazywał zwalać już istniejące domy i zastępować je kamienicami; gdyby zaś który z właścicieli nie miał po temu środków, powinien odprzedać plac zasobniejszemu po cenie, oznaczonej przez magistrat.

Konfederacya generalna na konwokacyi warszawskiej r. 1764 wydała uchwałę p. t. „Ubezpieczenie miast“, w której żąda, aby w rynkach Starej i Nowej Warszawy „place od domów drewnianych, klitek, jatek wolne i niezabudowane były“. Zatem poprzednie zarządzenia poszły widocznie w niepamięć, skoro je trzeba było ponowić. Tym razem jednak chodziło snać głównie o Nowe Miasto, albowiem w rynku Starej Warszawy na nowe domy drewniane miejscaby już nie było, i jeżeli co,

to chyba miano tam na myśli t. zw. „budy“ przepukniów, klecone z desek i stawiane gdzie się tylko dało, na placach, przy domach, pod murami, miało okalającymi. Taż uchwała z r. 1764 pozwala pozostawić domy drewniane w ulicach i przedmieściach „pryncypalnych“, ale bez prawa naprawiania ich i pod warunkiem zaopatrzenia w kominy muryrowane.

Bezpieczeństwo od ognia miało również na celu postanowienie magistratu, ogłoszone w r. 1714, aby do krycia kamienic używać wyłącznie dachówki. Niestety, zarządzeń dobrych bywało sporo, ale jakże często pozostawały bez skutku! Jakoż i sprawa krycia dachów była roztrząsana jeszcze w pięćdziesiąt kilka lat później przez Radę Nieustającą (15 września 1778 r.). Jak zwykle, i tym razem nieposłusznymi okazali się przedewszystkiem obywatele „stanu duchownego i rycerskiego“.

Ściślej z warunkami sanitarnymi domów wiąże się sprawa urządzenia w nich miejsc ustępowych, śmietników, wreszcie usuwania nieczystości. Zasad ogólnych trudno się w tej mierze doszukać. Przyjmy się więc chociaż przykładom.

W r. 1582 urząd radziecki Starej Warszawy nakazuje pod groźbą kary właścicielom domów na Krzywem Kole zaprowadzić u siebie kloaki. Uplęnęło sto lat z górą. Zmieniły się władze, stojące u steru spraw miejskich, zmienili się właściciele domów, ale porządki w nich, przynajmniej na Krzywem Kole, nie wiele się odmieniły. I oto w r. 1696 magistrat ówczesny wysłał tam ławników dla dokonania rewizyi z uwzględnieniem głównie miejsc

ustępowych. Co delegacya znalazła, niech pouczą własne jej słowa: „U ImPana pisarza wójtowskiego widzieliśmy w sieni błoto wielkie i w komorze pod murem wodę od sukcesorów Łyszczewskich śmierdzącą cum fecibus zmieszaną... Do tego na podwórzu błoto wielkie u ImPana pisarza wójtowskiego śmierdzące... Item poszedłszy zaś do Pana Kołpaczyńskiego, widzieliśmy przy kamienicy jego, zdawna Łętowską nazwanej, beczkę wielką oliwną fecibus ad praesens próżną, pro cloaca postawioną, w którą z góry potrzebność mają, kloaki zaś mieć nie mogą głębokiej w ziemi w tem miejscu, gdyż to jest uliczka publiczna“... Dalsze ustępy raportu zawierają takie same obrazki.

Poprzestawanie na takich warunkach sanitarnych może nam się teraz wydawać wprost niepojętem, ale miejmy na względzie, że Warszawa nie była bynajmniej kopciuszkim w szeregu miast. W innych stolicach europejskich zaniedbanie zdrowia i wygody mieszkańców dochodziło niekiedy do potworności. Zresztą na usprawiedliwienie pradziadów z końca XVII wieku można przytoczyć, że ich prawnukowie, przy innych pojęciach o higienie i bardziej wygórowanych wymaganiach co do wykwintu i wygody, jeszcze w drugiej połowie XIX stulecia, w tej samej Warszawie zamieszkiwali domy, w których śmietniki mieściły się niekiedy pod schodami, a kloaki w sieniach lub piwnicach.

Obowiązek oczyszczania kloak spoczywał oczywiście na właścicielach lub dzierżawcach domów, zajmowali się zaś tem przedsiębiorcy, „nocnymi“ zwani. Wywozili oni pierwotnie nieczystości w pole,

za miasto; później oszczędzali sobie trudu i składali zawartość swoich naczyń na t. zw. Górę Gnojową. Było to, rzecz prosta, nadużycie, ponieważ ową Górę magistrat przeznaczył tylko na sprzątanę z ulic śmiecie i nawóz koński.

W roku tedy 1765 wyznaczono dla „nocnych“ plac nad samą Wisłą, wprost ulicy Mostowej, do czasu urządzenia pomostu, po którym mogliby wjeżdżać dalej od brzegu i wrzucać nieczystości wprost do wody. Jakoż w r. 1778 pomost „wygodny“ już istniał; nim go jednak zbudowano, czyściciele posługiwali się tymczasowo „mostkami pływającymi“, o których wspomina rozporządzenie Komisji Brukowej z dn. 12 maja 1775 r.

Komisya ułożyła wtedy wykaz ulic Starej i Nowej Warszawy, przez które miały się kierować ku Wiśle wozy „nocnych“, przyczem nadmienila: „Aby zaś przykrość mieszkającym nie była wielka, chędożący kloaki mają w tych drogach zachować alternatę, tak aby nie zawsze jedną drogą jeździli, ale w równej proporcji czasu wywózkę swą odmięniali. Aby na wodzie mostki pływane mieli, opodal od lądu pływające, aby nie na ład lub drzewo, ale prosto w wodę i to przygłębszą wylewali z karow pod surowemi karami. Te mostki sami sobie reparaowali i z miejsca na miejsce przeciągali, jakoteż podczas przybywania wody w ład, a w czasie ubywania na wodę wypychali“.

W r. 1778, jednocześnie z urządzeniem pomostu na Wiśle, ułożono dla czyścicieli kloak takse. Oto czytamy w uchwałach magistratu z dn. 12 marca t. r.: „Szlachetny Magistrat et Nobiles ac Hono-

rati Ordines Miasta Starej Warszawy, zważając nieporządek i depaktacją przez ekspurgatorów kloak, gdy teraz tańsze wiktuały, i owies dla koni, i wywóz blizki do Wisły i wygodny na most, umyślnie na to sporządzony na Wiśle, nie tak, jak było potrzeba w pola wywozić, Szlachetnym Imć Panu Podskarbiemu i Szlachetnej Ekonomii, aby miary czyli cebry i cenę od każdej miary sprawiedliwą ustanowiła zupełnie, to umiarkowanie uczynić polecają“.

Pospolity w stolicach państw europejskich zwyczaj łatwego usuwania z domów nieczystości przez wylewanie ich na ulicę, w Warszawie również miał zastosowanie. Walczyły z tem niechlujstwem władze, a że nie zawsze skutecznie, dowodzi potrzeba powtarzania co czas jakiś odpowiednich zakazów. Niektóre z nich nazywają rzecz po imieniu, bez ogródki i mówią wprost o wylewaniu „przez okno fecesów i pomyj“, inne zalecają tylko ostrożność przy oczyszczaniu ustępów i wywożeniu z nich nieczystości. Tak np. pierwsza z wieku XVIII uchwała pełnego magistratu, mianowicie z dn. 13 grudnia 1704 r., opiewa między innemi: „Że nieochędostwo, którem się natura ludzka brzydzi, zdrowe zarażać zwykło powietrze, tedy gdy gospodarze smrodliwe chędożyć każą miejsca, niech tego przestrzegają, żeby na ulice i na drogi, któremi ludzie jeżdżą i chodzą, obrzydliwych smrodów nie wylewano“.

O porządek w powdórze domu dbał właściciel, o ile miał wolę po temu. Zresztą nikt mu tam swej władzy nie narzucał, ani obowiązków nie dyktował. Nakazy miejskie i marszałkowskie zabraniały tylko wyrzucać śmieci z domów na ulicę, do cze-

go jednak właściciele bynajmniej się nie stosowali. Dopiero w r. 1795 departament policyi przedsięwziął rewizyę domów i zobowiązał ich posiadaczy do oczyszczania podwórzy, zakładania śmietników i opróżniania ich kosztem własnym. Za wyrzucanie śmieci z domu na ulicę, a zwłaszcza za podrzucanie ich pod dom cudzy, groziła kara pieniężna, a nawet cielesna.

Gdy rozkaz ten nie poskutkował, we dwa lata później (r. 1797) ponowiono go przez wydanie szczegółowych przepisów, przyczem pociągnięto lokatorów do udziału w wydatkach. Oto trzy pierwsze paragrafy owych przepisów: „1) Każdy właściciel domu obowiązany jest pod karą pięciu talarów miejsce w posesyi swojej wyznaczyć, gdzie tak on sam, jako i komornik jego wszelkie śmieci lub muł składać powinni, póki się na pole nie wywiezie. 2) To wywiezienie każdy posesor własnym kosztem obmyślić ma; ponieważ publiczne kary skarbowe nie są obowiązane do wyprowadzania z domów takich nieczystości, więc względem ekspensy, na to łożyć się mającej, gospodarz z komornikami swymi ułożyć się powinien. 3) Gdyby przecie który dziedzic życzył sobie, żeby śmiecie, w domu jego zebrane, przy publicznem oczyszczeniu ulic także przez te kary zabrane były, może się w tym razie udać do intendenta magazynu karowego... dla dowiedzenia się o kondycjach, pod któremi to się uczynić może“.

W takich oto warunkach higienicznych ulic i domów żyła Warszawa w wieku XVIII. Obraz

zaiste nieponętny. Nie zadowalał on swoich, ani obcych. Usiłowano też polepszyć owe warunki i sporo działo, a że sprawa tak ważna posuwała się naprzód powoli, składało się na to wiele przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych.

A jeżeli to nie wystarcza komu na usprawiedliwienie praojców naszych, niech weźmie pod uwagę, że gdzieindziej działo się nie lepiej pomimo o wiele pomyślniejszych warunków materyalnych i politycznych. Bez wyszukiwania przykładów, poprzestaniemy na jednym, dotyczącym miasta, które zdobyło sobie nazwę stolicy świata, a co do porządku pozostawało w tyle nawet poza Warszawą. Oto jeszcze w r. 1837 dr. Szokalski, późniejszy profesor i znakomity okulista, przybywszy do Paryża, niemile był dotknięty zaniedbaniem czystości na ulicach. „Poszedłem—pisze w pamiętniku swoim—rozejrzeć się po mieście i wszędzie, gdzie zaszedł, znalazłem brudy, śmiecie i błoto... Wszystkie ulice tak były brukowane, że ich środkiem szedł rynsztok, w którym ciągle brudna płynęła woda, a że dwukołowe kabryolety ciągle z jednej na drugą przemykały się stronę, więc cię niemiłosiernie opryskiwały. Podczas mojego w Paryżu pobytu zaczęto dopiero chodniki po obu stronach ulic układać, na wązkich zaś ulicach leżały kupy śmieci i kałuże, bo nikt się nie wstydził zaspakając tam swoich potrzeb wobec osób przechodzących“.

Jedna jeszcze nastęrcza się uwaga. Jeżeli obywatel Warszawy z końca wieku XVIII nie mógł zbyt zbytnio zazdrościć mieszkańcom innych stolic Europy porządku i czystości, to w następnem stuleciu

miał i ma jeszcze dużo powodów do zazdrości. Postępy nauki i techniki były dla wszystkich jednako-
kowo przecież dostępne, a poza kanalizacją i wodociągami, które poprawiły znakomicie stan sanitarny miasta, brak jeszcze Warszawie wielu nieodzownych urządzeń higienicznych.

Ale to już nie nasza w tem wina.



MP.4846